

Tomasz Kaczmarek "W imię ojca i syna"

Tomasz Kaczmarek "W imię ojca i syna"



W imię ojca i syna

W Tyńcu, w gospodzie pod "Lutym Turem", należącej do opactwa siedziało kilku ludzi, słuchając opowiadania wojaka bywalca, który z dalekich stron przybywszy, prawił im o przygodach, jakich na wojnie i w czasie podróży doznał^[1].

Brodaty osobnik osłaniał oblicze kapturem, który rzucał cień, kryjąc jego oczy przed drżącym światłem kaganka. Gospoda przysiadła w półmroku, gdyż dzień był krótki i ciemny. Jesień spłynęła na świat chłodem i przymrozkiem, pożółkłe liście poddawały się sile przyrody i porzucały wygodne domostwa swych gałęzi i konarów. Żółcie i brązy zdobiły nie tylko leśne korony, lecz również trakty, które powoli zaczynały się rozpuszczać w zjechanym błocie.

- Piwo macie tu przednie. - wychrypiał, podając stągiew gospodarzowi, który chętnie lał gęsty i syty wywar z konwi trzymanej oburącz. Właściciel - Polak w duchu, choć ojciec jego Niemcem zwać się kazał do końca żywota swego - uśmiechał się przy tym służalczo, zęby swe krzywe ukazując. Wiedział bowiem, że przybysz majątnym jest kupcem co się zowie i jakkolwiek prawi dosyć niezgrabnie, to płaci, jak trzeba. Pokiwał głową, poszczerzył się jeszcze i poszedł za kontuar, innych klientów obsługiwać. Łypał jednakowoż w tę stronę z atencją, nie chcąc wybitnego gościa zaniedbać.

Gość zaś nie poświęcał gospodarzowi uwagi, jedynie komentarz raz po raz rzucił przyjazny. Zaaferowany był bowiem konwersacją z innym jegomościem - pogodnym starcem, ubranym ubogo w mocno zużyty kaftan z płowym kapturem o wycinanym w zęby kołnierzu. Prykiem zwać go nie wypadało, gdyż człek był to pleczysty, choć trochę wychudły. Z pewnością bitkę miał niejedną zapisaną na swych knykciach.

- Mówiliście, że jako was zowią, szlachetny panie? - zapytał starzec, unosząc stągiew do ust i łykając nektar bogów z wielkim smakiem.

- Mikołaj. Nie mówcie mi panie szlachetny, upraszam. Jestem jedynie prostym kupcem z Torunia.

- Ach, szlachetnym panem zaiste jesteście. Nie tylko z uposażenia, lecz z manier, rozumu i szlachetnej aparycji. Jeśli więc pan nie oponujesz, zwać będę takowoż.

Mikołaj z Torunia skinął głową przyzwalająco, choć z niechęcią pewną, w sztywności karku okazaną.

Po czym wyciągnął przed się szerokie i potężne nadmiernie dłonie, pokazując lata ciężkiej harówki fizycznej, za kawałkiem chleba przeżytej. Z uznaniem starca się spotkał, gdyż gest ten na związanie z ludem wskazywał. Rękoma wiadomość przekazał - ten oto człowiek za mamoną nie podążał, to za nim mamona szła chętnie. Można był bowiem nie z urodzenia, czy przypadku, lecz z pracy - ciężkiej i uczciwej.

- Wspomnieliście też.. - podjął miejscowy z pewnym namysłem. - Wspomnieliście, że w krakowskie kąty osobista tragedia was przygnała. Szukacie tedy zapewne ukojenia bądź rady.

- Zaiste. Tragedia zagościła w mym domu i odejść nieskora. Tedy remedium poszukuję. Oddania mi syna zmarłego, zabranego przedwcześnie. Waść zaś wskaż mi, proszę, drogę do osoby, której poszukuję. Jesteście, jak mniemam, w komitywie z siłami wsparcie takim jak ja dającymi.

Starzec wzdrygnął się, rozlewając piwa odrobinę na rękaw. Odstawił stągiew z hukiem i miał wstawać już, gdy kupiec rzucił się naprzód, własne naczynie wywracając i zawartość na ławę rozlewając. Ściągnął poły rozmówcy chwytem żelaznym, używając tychże rąk kamiennych, łapsk niedźwiedzich o mocy zwierza z borów najciemniejszych.

- Puść! - jęknął tubylec, uwagę wszystkich na rozmówców zwracając.

Brodacz nie puścił, ale kaptur osunął się z jego głowy, oblicze mroczne w pełni okazując. Włosy jego w nieładzie się okazały, długie i poskręcane, a wzrok miał dziki, gorączki pełen. Choć goście gospody w chwili pierwszej rzucić się mieli do pomocy kamratowi, to, widząc fizjonomię napastnika, szaleństwem podszytą, wstrzymali się na moment, szanse swe miarkując. Czyżby siły nieczyste miały w nim swą opokę? Czy możliwym, by człek ten mrok wokół siebie gromadził, niczym złoto w kieszeni?

I złotem właśnie kupiec sypnął obficie, a brzęk monet poniósł się po gospodzie całej.

- Gospodarzu! - ryknął potężnie, aż kurz się z powały poderwał i rzadkim pyłem w powietrzu się począł unosić. - Piwa dla wszystkich! A nam dajcież rozmawiać spokojnie, wszak spokojnie gadamy, nieprawdaż, towarzyszu?

Widząc, że uścisk jednej teraz dłoni na kubraku nic z mocy nie utracił, a i pomocy znikąd szukać, starzec pokiwał głową, z obliczem sposepniałym teraz i przerażonym.

- Siadaj. - rzucił kupiec niskim głosem, wciąż nieco rozedrganym, choć wyraźnie spokojniejszym. I siadł dziad, jakoby inna osoba niż wcześniej - zniszczony życiem, zmarszczkami poryty, z którego uszła wszelka już wesołość i radość. Brodacz również spoczął ciężko, wybuch bowiem kosztował go wiele sił, których w ciele zużytym wyraźnie brakować zaczynało. I chwycił się szybko za serce, które biło z mocą tak wielką, że dech odebrało mu na moment. Rzucił tedy starcowi spojrzenie gniewne i przez zęby zaciśnięte wycedził: - Miarkuj swe szanse, byś żywym wyjść stąd zdołał. Żebyś drgnąć nawet nie raczył.

Starzec nie tylko nie raczył drgnąć, lecz mrugać się zda, przestał, a i oddech trudno było u niego dostrzec. Kupiec, uspokojony nieco, może nawet zadowolony, rozsiadł się trochę wygodniej. Stągiew na powrót w rękę chwycił i nakazał gospodarzowi naczynie napełnić. Posłuszny szynkarz uczynił to dwakroć, oba braki szybko uzupełniając.

- A więc... - podjął brodacz, pragnienie chyżo zaspokoiwszy. - Jesteście w komitywie z siłami, które są mię potrzebne.

Starzec zmilczał. Zacisnął wargi swe uschnięte mocniej, wiążąc podkowę na twarzy swej

pomarszczonej.

- Jak was zwa? - spróbował kupiec ponownie.

Cisza.

- Jam jest Mikołaj z Torunia, kupfrem handlarz, z niemieckiego zwany też Kopernikiem. Miano me poznałeś, bom człek uczciwy i pracowity. Ni duszy prawej, ni zwierza żem nie skrzywdził nigdy. Jednakowoż tragedia największa spadła na me domostwo. Najmłodszy mój syn, Mikołaj^[2] jako ja, dusza moja i serce, zmarł przy porodzie, raniąc małżonkę, która ledwie z życiem z połogu uszła. Ledwie co na świat przyniesiony, dech z trudem łapiąc, płacz cicho pod powałą mą przyniósł. Rączką swą maleńką chwytając mój paluch niezgrabny, oczęta otworzył i poczuł żem jego miłość tak silną i piękną, że gdy oddech jego ustał, a jego wzrok wciąż we mnie wpatrzony trwał, serce me pękło na dwoje. I uszło ze mnie życie, z jego żywotem społem zabrane. Przeto proszę cię, bracie. Błagam. Pomóż mi, bym dziecko swe ukochane odzyskać zdołał. Wybuch mój racz wybaczyć, gdyż gniew we mnie potęguje krzywdy poczucie, niesprawiedliwość jawna i ból. O tu.

Wskazał po tym kupiec na serce swe zbolące, pod ubraniem skryte. I uronił starzec łzę na te słowa, widział bowiem, że historia jest prawdziwa, nie zaś dyrdymałem splamiona. Odparł przeto niemal szeptem:

- Śmierć dziecka zawsze najgorsza jest na świecie całym, a powszechna niczem plagi najstraszniejsze.

- Zrozumienie więc masz waść dla mej gorliwości.

- Mam. Ale pomóc wam, panie, nie mogę.

- Czemuż to?

- Gdyż cena, jaką płacić przychodzi za postęпки takie, jest zbyt wysoka, nawet dla ciebie, panie.

Brodacz uśmiechnął się tedy, napędzając na powrót stracha starcowi. Nie wiedział on bowiem, czy kupiec z gniewu ust nie wykrzywia, będąc do pomsty za odmowę gotowym. Widząc reakcję rozmówcy, żalobnik wznosił swe kamienne dłonie, by pokazać, że zamiarów złych nie ma.

- Wybacz waść uśmiech mój krzywy, gdyż powód miał on szczery. Prawdę rzekliście w końcu. Kontaktem jesteście moim, człekiem, którego szukałem.

- Tak, panie. Przyznaję.

- W takim razie bądź waść łaskaw nie oceniać kupca prostego i porywczego zbyt chyżo. Gdyż o ceny za rzeczy nie z tego świata strachu ja nie mam. Bojażń zmarła we mnie dnia feralnego, a i rzeczy ja mam takie, które pan waści przyjmie i rękę z wdzięcznością pocałuje.

Starzec cmoknął ustami i wznosił do góry brwi krzaczaste.

- Wiem, kim jest waści pan szlachetny. I wiem, komu on sam służy, czego nawet waść nie wiesz. Przygotowanem na rozmowę przybył, nie z rękoma pustymi. Upraszam zatem o posłuchanie.

- Waść prawisz pewnie i mocno. Zali nie uznam, panie szlachetny, słów twych za rzucane na wiatr. Lecz nie o pieniądze tu się rozchodzi.

- Wiem.

- Dobrze. Rzekliście swoje, a ja swoje. Pan mój rad będzie poznać szlachetnego z ducha i z serca waszmościa. Cóż więc, panie, przyniosicie na wymianę?

Kupiec sięgnął łąpskiem swym potężnym pod ławę, na której spoczywał, i podróżny toból skórzany wyjął. Rozsupłał wór pękaty i papiery, w rulony zwinięte, wyciągać począł.

- Waści pokażę jeden, dwa może pergaminy, nie więcej. Gdyż wartość z nich każdy ma wielką, rycerza konnego wart wraz z rynsztunkiem, a i to najskromniejszy z projektów moich.

Powyciągały się szyje znad napitków przednich jeszcze mocniej niżli dotąd. Wiedzieli o tym i kupiec, i starzec, który, oczami w dół rzuciwszy, pobladł już do ostatka, by, jak kreda białym się stawszy, jęknąć i stęknąć.

- Cóż to za dziw? - głos rwał mu się niczym w malignie, oczy rozedrgane krwią nabiegły, co - przy skórze jak biel świętej panienki - szczurzego wyglądu mu nadało. Podniósł ów wzrok szczurzy na brodacza. - Co to jest?

- To... - paluchem wielkim żalobnik dźgnął w pergamin, rycinę wskazując - ... jest latacz. To zaś... - rozwinął chyżo drugi rulon z uśmiechem zadowolenia. - To zaś żółw.

Popatrywał starzec to na mężczyznę, to na stół, to wokół na ludków, co wstawać z ław poczęli, by przyjrzeć się cudom i dziwom. Jeden bowiem z rysunków, ręką pewną uczynionych, ukazywał machinę przedziwną, ptaka w locie przypominającą, ze skrzydłami i ogonem, do budowy z płótna i drewna przeznaczoną. Drugi zaś, „żółwiem” zwany, kształt stożka ściętego na szczycie i w dole przedstawiał, ciężkiego i pancernego, z armatami rozstawionymi wokół na kształt jeżowej powłoki, miast kolców jednak broń śmiercionośną mający. Liczb przy tym, mniejszych schematów i linii przedziwnych była mnogość.

Położył łapę ciężką kupiec na projektach, huk wielki powodując.

- Prowadź - rzekł krótko, a starzec z miejsca się zerwał i po obecnych gniewnie popatrzał. Odwróciły się głowy, nawet gospodarz, w ciekawości swej przed szynkwias wystąpiwszy, teraz pędem za kontuar się rzucił. Pokazał tym samym, że ma posłuch niezwykły wśród gawiedzi. Skinął przeto na kupca, by rzeczy swe zebrał i do sakwy pękatej spakował.

Wyszli w milczeniu z gospody. Przymrozek jesienny chwycił ich zrazu za gardła i parę wodnistą wycisnął z płuc. Sędziwe drzewa, brązem i czerwienią przyprószone, pochyły gałęzie nad ścieżką leśną w grozę budzącym cieniu chowając. Kupiec przełknął ślinę gęstą, która, w gardle stanąwszy, o atak kaszlu go przypawiła. Starzec szedł zaś szybko i wartko, niczym młodzik po raz pierwszy puszczonej wolno z rodzicielskiej opieki. Mikołaj przyspieszył kroku, by zrównać się z przewodnikiem.

- Dokąd idziemy? - spytał, łapiąc oddech, lecz starzec nie odpowiedział wcale, tylko parł naprzód, jak w transie. Kupiec narzucił na głowę kaptur swój życiem sterany, ciepło chcąc utrzymać w uszach i w głowie. Chłód był tego dnia o tyle dokuczliwy, że z wilgocią chorobliwą się złączył w sojuszu ponurym.

Szli i szli, w trawie szronem spryskanej, ścieżką wyłożoną, błotem przemarzłym i skruszonym pokrytą. Nie pytał już brodacz o nic, skupiał wszystkie siły i uwagę, by nie zgubić starca, przodującego w wyścigu nienazwanym o śmierć i życie dziecka ukochanego.

- Skotniki znacie? - spytał ni stąd, ni zowąd przewodnik. Kupiec pokręcił głową, zmiłogował się jednak, że idący przed nim ruchu tego widzieć nie mógł, odparł więc zachrypniętym głosem:

- Pierwsze słyszę.

- Wieś i uroczysko. Zmierzamy w kręgi pradawne, pogańskie. Dawni ludzie i dawna wiara królują tu od zawsze, niezachwiane niczym Pieskowa Skała z Szafrącami, tfu, psia ich mać, szubrawcy.

- Nie rozumiem.

Starzec odwrócił się i przystanął na chwilę.

- Pan mój czeka. Wie, o czym rozmowa była. Wie, z jakim, panie, kłopotem przybywasz i co w zamian dajesz. Uroczysko moc pradawną gromadzi, a pan mój ją jako jedyny nakłonić umie, by posłuch u człeka jakiegokolwiek miała. Idziem tam szybko, bo czas nagli. Uroczysko w nocy miejscem rzeczy tajemnych i zabójczych się staje. W dzień zaś cuda można czynić dla panów szlchetnych, jak wy, w szlchetnej sprawie przychodzących. Chodźcie. Już niedaleko.

Prorocze były słowa starca, gdyż nie minął nawet pacierz pełen, a zejście w dół, wśród chaszczy ukryte, znaleźli, nim podążyli, a tam, wśród bagien rzesą pokrytych, ścieżka wąska biegła, od błota i lodu śliska, na dodatek wąska i kręta. Poszli nią, ostrożnie kroki stawiając, by dotrzeć do wyniesienia, pewnikiem sztucznie usypanego, z kamieniami runicznymi wokół rozstawionymi, mchem i porostem obrośniętymi. Stał tam samotny człek o brodzie długiej i jasnej, w warkocz związanej, i włosach długich, ujętych w pątlak z paciorkami w siatkę naszytymi. Wiek jego trudno było zgadnąć, lecz siwizny w czuprynie gęstej znaleźć się nie dało. Spojrzenie miał natomiast równie ciężkie, co spokojne, wyraźnie życiem naznaczone.

- Wyście Mikołaj z Torunia, Kopernikiem zwany.

- Jamże. - odparł kupiec, na wyniesienie wkraczając, niczym do świątyni ku chwale Boga wzniesionej. Dojrzał na kamieniach zapisy pradawne, językiem przodków spisane. Chrząknął i charknął sążnięście.

- Nie zimno tu waści? - zapytał i pożałował od razu, strach bowiem pierwszy raz dnia dzisiejszego poczuł, a w strachu zawsze głupoty różne opowiadał.

- Wdzięcznym za troskę - odparł stojący, zapewne mag jakiś lub druid. - Wiara moja i głosy przodków nie pozwalają mi marznąć. Przeto stoję przed wami rześki i w komforcie skąpany - krok zrobił naprzód, strach Mikołaja wzmagając lekko, jednak widząc, że kupiec pozycję zgarbioną, niczym zwierzę, przyjmuje, do skoku gotów jak kot do muru przez ogary przyparty, zatrzymał się i uśmiechnął. - Bać się nic nie musicie, szlchetny panie. Zamiarów złych nie mam ja, ni sługa mój, co z rodziny biednej, acz uczciwej pochodzi. Ja zaś szlchetnie urodzony jestem, Jan imię me, godność zaś Twardosky. Z rodu, co odpór dawał Krzyżakom, dawniej i w wojnie trzynastoletniej, niedawno zakończonej. Sam pod Świecinem trzy lby krzyżackie ściąłem, i pod Gotardem z Radlina służyłem, i odsiecz tych psubratów pod Starogardem wspólnieśmy odparli.

- Znam ja Gotarda! Człek z niego zacny, i w handlu uczciwy zawsze, po wojnie nieraz żeśmy z pierworodnym kupfru przedniego mu na tombak dawali. Tegoż lata nawet rozmawialim i na przyszłą wiosnę handlowe plany czynilim.

- Rozumiem ja cel twój, panie zacny, żeś sprawdzić musiał mię, czy prawdę powiadam, a powiadam! Stąd afrontu nie czuję i bić się z tobą nie chcę, szlchetny panie. Gotard zmarł na gazy wiosen temu pięć, zmęczony okrutnie i cierpieniem powalony. Byłem i ja na pogrzebie jego, i zdaje się mię, że was, panie, wtedy widziałem, choć wy mię widzieć nie mogliście, gdyż w oddaleniu stałem, kontemplując los nasz marny na tym świecie przeklętym.

Słyszając słowa te, Mikołaj skłonił się głęboko i po sakwę sięgnął, magowi wszystkie projekty swe bez chwili zwątpienia dając.

- Pewni jesteście... - podjął Twardosky - że skarby swe w zamian za dziecka zwrócenie oddać mi chcecie?

Uśmiechnął się na to kupiec z Torunia.

- Projekty te nic nie są warte przy dziele, jakie uczynić zamierzacie, panie. Dziecię moje cenniejsze jest niżli cokolwiek innego, z życiem mym własnym na przedzie. Handlem, jak wiecie, zajmuję się wiosen wiele, znam tedy tajniki rozmów i negocjacyj z najzacniejszymi i najtrudniejszymi oponentami. O tobie, panie, słyszałem. O problemach twych również. I choć sprawdzić, rozumiesz, musiałem, to o tym, kim jesteś, od razu wiedziałem. I co pomoże waszmości w jego problemach - też wiem. Sprzedasz te projekty, panie, do Florencji, gdzie Wspaniały Wawrzyniec przepisać je każe młodzikowi jakiemuś i za swoje własne zapewne sprezentuje. Ciebie zaś złotem obsypie, długi spłacić pozwoli, duszę może nawet uratować zdołasz przed pomiotem czarcim. - Spojrzał na niego mistrz Jan wzrokiem nieco innym niż dotąd, szacunku nadal pełnym, lecz również zdziwionym wielce i zaciekawionym.

Wtem wstrząs sprawił, że Mikołaj widzieć cokolwiek przestał, dech mu odebrał, i zdaje się, wysepką całą zatrzęsł, a przynajmniej uniósł ją lekko, by zaraz w wodę cuchnącą opuścić.

- Stój! - krzyknął głosem niezwykłym, jakby z głosów wielu złożonym, mistrz Jan, rękę wznosząc i przyrody siły wzywając. Starzec zaś, co za Mikołajem z nożem się zaczął, fikołka uczynił i w wodę poleciał, rzęsę rozchlapując i błotnym odorem nasiąkając. Podniósł się szybko, łapiąc oddech ciężko i kaszląc okrutnie. Dodał jeszcze mag, głosem już własnym, zwyczajnym, choć władnym i silnym:

- Wadimie, przyjacielu. Wiem, żeś bronić mnie chciał, gdyż człek ten oto wie o nas więcej, niżli przyznawał z początku, a i zagrożeniem jest dla nas prawdziwym. Gdyby chciał, w pułapkę by nas zaciągnął, on jednak uczciwie od początku mówi, co jest jego potrzebą prawdziwą. Przyjacielu, złóż ostrze swe do pochwy, gdyż nie zdradzi nas on, tak samo, jak my jego nie zdradzimy.

Następnie do Mikołaja, zszokowanego zajściem, się zwrócił, spokojniejszy już, choć wystraszony nieco, sytuacją całą, która z kontroli jego wymknąć się na chwilę zdołała:

- Przeprosiny waść przyjm ode mnie, sługi natury skromnego, światem zadziwionego po równi, co dziecko małe, w las pierwszy raz idące. I sługę mego racz, panie, w sercu swym odkupić, zemstą nie pałaj, gdyż uczciwy to człek i chronić mnie chciał jedynie. Choć wiosen już mnogość przeżyłem i miejsc mnogość widziałem, wciąż uczę się, by mocy własnych nie przeceniać, a cudzy rozum skromnie podziwiać. Tedy twój, panie, rozum podziwiam, gdyż widzę teraz jasno, żeś wiedzę zebrał przeogromną i wyższości nad tobą żadnej nie mam. Jedynie siłami od przodków naszych władać potrafię, co skromną jest możliwością, a i przewagą żadną. Wezmę waści projekty i uczynię z nich użytek najlepszy, wedle wiedzy mojej i możliwości. Ciebie zaś, mości Mikołaju, muszę uraczyć, niestety, wieścią niedobłą, podłą wręcz, co i mię sprawia trudność, jako że widzę mędrca nieliczego.

- Jakaż to... wieść? - zapytał Mikołaj, trąc oczy, łzami wciąż zachodzące od magii przed chwilą uczynionej.

- Machiny waści są dla mnie opłatą więcej niż hojną, tedy tak trudno przychodzi mi mówienie o koszcie prawdziwym, czyli tym, którego magia sama wymaga. Wiedz bowiem, panie, że czar dowolny ceną wyższą jest okupiony, niżli uczyniony cud. Siły to ciemne decydują o powodzeniu i klęsce czynionych uroków. A są one butne, żądne i nijak nie obchodzi ich los tych, których życzenie spełniają. W podobnych waści sprawach działałem już nie raz, dziatki zmarłe rodzicom oddając, ceną zaś zawsze w tych przypadkach było jedno - życie wasze, panie. Nie życie w formie, jaką los nam dał, lecz życie to, któreście sami sobie uczynili. Zapomną was tedy wszyscy ci jako tego ważnego,

zdolnego i talentem hojnie obdarzonego. Utraciecie wartość swą jako obywatel kraju, mąż i ojciec. Talent zostanie odebrany wam i wtłoczony w całości w syna, któremu w ten sposób ważność nadając, wam odbierze się jakiegokolwiek znaczenie dla świata. Wasze intuicje, wasze plany nijak nie będą już na tym świecie obecne. Syn zaś oddany nie będzie was szanować za nic więcej ponad sprawy proste i liche. Dla niego, dla rodziny, dla wszystkich bowiem będziecie już li tylko tym kupcem prostym, co się jeno na liczbach trochę zna i kupfsze lepszym albo gorszym.

- I to wszystko? Zaiste cena to niska jak dla mnie. Bylebym dziecię moje zdrowym oglądać mógł znowu.

- Niech się stanie tak zatem, byś mógł syna swego na dobre i na złe odzyskać. Jak imię swe oddałeś chyżo dla Mikołaja młodszego, tak życie mu przekaz własne. Pilnuj się jednakowoż, bo miejsce, w którym przebywał, mroczne jest i od światła odległe. Przeto z serca szczerego radzę, by pod opiekę kościoła jak najszybciej go oddać, co nie zapewni mu powodzenia, lecz pchnie w stronę prawości i światła. Kler jest łasy na umysły młode, giętkie i bystre, sądzę więc z doświadczeń mych własnych, że w szeregach ich możnym zostanie większym, niżli ty, panie kiedykolwiek być mogłeś.

- Zgoda na wszystko i dzięki ci, panie możny. Cóż mam uczynić teraz? Czy czary wielkie nastąpią?

- Czary już zrobione, gdyż sam je, kupcu marny i prosty, odprawiłeś. Jesteś przeto marnym puchem, glistą nieważną i zejdz mi z oczu, kreaturo, pókim dobry! I spiesz się! Spiesz się, bo ciało twego syna wstało już i płyny pośmiertne wyrzuca, na cmentarzu niezłożone, lecz w piwnicznej izbie twojej zbudzone.

- Dziękuję ci, panie. Dziękuję. Oby fortuna życiem długim cię obdarzyła, wrogi twe przepędziła do czeluści piekielnych, a sławę twą literacko opisać dała, by czyny wasze i cuda znane były po wsze czasy!

I poszedł kupiec głupi i marny. W gospodzie nieugoszczony, przepędzony przez gospodarza, co złodzieja i przybłędę w nim widział. Na trakcie kuksańcami i kijem witany, gdziekolwiek raczył pokazać swe nikczemne oblicze. W interesach zaś w latach późniejszych skuteczny, lecz niepoważany już nigdzie i nigdy przez nikogo. I szczęśliwy ponad miarę, bo syna swego oglądać mógł znowu, w zdrowiu i sukcesie, choć i w jego oczach był robakiem jedynie, w ziemi ryjącym.

Odszedł ze świata Mikołaj, przez nikogo nienazywany już tak, gdyż Mikołajem Pierwszym nie był wcale i Mikołajem tak po prostu również. Starszym był tak naprawdę tylko z uwagi na syna, którego imię znać wszyscy mieli już niedługo.

Tomasz Kaczmarek

^[1] Akapit otwierający *Krzyżaków* Henryka Sienkiewicza

^[2] Według źródeł historycznych Mikołaj Kopernik imię odziedziczył po ojcu, będąc najmłodszym z czworga rodzeństwa.